

W „Życiu Warszawy” z 7 sierpnia br. przeczytałem wiadomość o tym, że Rada Ministrów wydała zakaz rozpoczynania nowych inwestycji z wyjątkiem nielicznych, ściśle określonych przypadków, które każdorazowo ustalać będzie rząd. Jak rozumieć tę decyzję? Czy nie wpłynie ona na oblicze ustalonej przecież przez Sejm 5-latkę? Co będzie z zamierzonymi przez nasze miasto pilnymi inwestycjami komunalnymi, o których znaczeniu tak wiele ostatnio pisaliśmy?

J. B. — Poznań

Piołr Chojnacki

DLACZEGO ZAKAZ



Ratusz

Z fotofeki K. Przychodzkiego

Mieczysław Skąpski

Koordynacja? — Tak!

Sprawy
poznańskiej
nauki

P przed bez mała czterema laty (dokładnie 17 grudnia 1958 roku) odbyła się w Poznaniu konferencja rektorów poznańskich uczelni z członkami Prezydium RN m. Poznania z udziałem zaproszonych gości. Konferencja miała na celu dokonanie przełomu w rozwoju wzajemnych stosunków między gospodarzami miasta a kierownictwami wyższych uczelni. Spodziewano się po niej, że przyniesie mnóstwo pomysłów i działania naukowców skierowanego bezpośrednio dla potrzeb Poznania i — z drugiej strony — że uczuli władze miejskie na trudności, z jakimi borykają się uczelnie. Cel osiągnięto, choć na pewno nie w takich rozmiarach, jakich oczekiwano.

Podczas konferencji wystapiono jednak także z postulatem utworzenia jakiegoś stałego ciała np. kolegium rektorów oraz reprezentantów władz, które by co pewien czas koordynowało rozmaite przedsięwzięcia placówek naukowych w celu osiągnięcia maksymalnych efektów możliwie najmniejszym wysiłkiem i kosztem. Ten postulat nie doczekał się, niestety, realizacji, choć corocznie wpływa na porządek dzienny wiele problemów wymagających skoordynowanego działania. Zbierali się jedynie co pewien czas, lecz raczej bardzo rzadko, prorektorzy do spraw wychowawczych, aby ujednolicić posunięcia w takich sprawach jak ustalenie powierzchni, jaka winna przypadać na jednego studenta w domach akademickich, jak przydzielić miejsc dla poszczególnych uczelni w tych domach, jak wreszcie konkretne problemy wychowawcze, czy administracyjne.

Są to rzecz jasna problemy ważne, jednak nie najważniejsze. Kierownictwa poszczególnych uczelni zdają sobie doskonale sprawę z potrzeby koordynacji, co więcej — mienia się rzecznikami koncepcji współdziałania i wzajemnej pomocy między uczelniami od lat. A przecież jak dotąd nie lub prawie nie z tego nie wychodzi. Nie znaczy to bynajmniej, że w ogóle nie ma współpracy między uczelniami. Owszem jest, ale odbywa się zwykle na „niskim szczeblu”, po prostu poszczególni kierownicy katedr lub wręcz poszczególni naukowcy porozumiewają się między sobą i wzajemnie pomagają. Jest to „partyzancka”, która pozwala załatwić

sprawy szczegółowe, drobne, nie może jednak rozwiązać potrzeb zasadniczych.

Badania kompleksowe

I takich jest wiele. Rozważmy problem prac badawczych na użytek regionu wielkopolskiego. Nie potrzeba udowadniać, że Wielkopolska reprezentuje ogromną ilość problemów wymagających „mędrca szkiełka i oka”. Wiele z tych problemów znalazło się już na warsztatach naukowych. Nie zawsze jednak są to badania kompleksowe, a nawet przeważnie badania dotyczą jedynie wycinka wielkiego problemu (np. socjologowie prowadzą badania regionu konińskiego, ale

równocześnie z nimi nie wszczęto tam innych badań jak ekonomicznych, technicznych, rolniczych, a przecież dopiero kompleks badań dałby pełny obraz regionu, jego możliwości i perspektyw). Ale też nie mało ważnych spraw Wielkopolski nie miało dotąd w ogóle szczęścia do naukowców. Nie zawsze zresztą z ich winy. Niektóre problemy rastają możliwości jakieś katedry, a nawet wydziału uczelni. Nie było zaś instancji, która by mogła zapewnić współdziałanie i pomoc innej uczelni czy instytutu naukowego.

Samo zasugerowanie i dokonanie wyboru problemów wymagających zbadania w naszym regionie nie może się dokonać w ramach jakiegokolwiek wydziału czy nawet jednej uczelni. Potrzeba do tego wszechstronnego spojrzenia wszystkich rektorów, dyrektorów instytutów naukowych oraz przedstawicieli władz miejskich i wojewódzkich. Na takim dopiero forum można skutecznie

Dokończenie na str. 3

Wanda Laskowska

RYZYKANCIE Z POWOŁANIA

Milion czterysta tysięcy pojazdów! Liczbę tę wymieniamy jednym tchem każdemu, kto próbuje podawać w wątpliwość rozwój motoryzacji w Polsce. Z roku na rok liczba ta powiększa się systematycznie o dalsze dziesiątki tysięcy — tylko patrzeć jak stuknie drugi milion. I rzeczywiście — jeśli miernikiem motoryzacyjnej rzeczywistości mają być liczby — pęd obywateli do wzbogacenia się we własne środki lokomocji przedstawia się imponująco. Rejestruje go skrupulatnie statystyka i to wydawałoby się jest prawda bezsporna.

Jeśli jednak rzucamy z dumą liczbę milion czterysta tysięcy pojazdów, to może jednocześnie warto zastanowić się nad tym, co kryje się pod pojęciem „pojazd”?

Gwoli ścisłości — aby mieć prawdziwy obraz sytuacji — należałoby mówić o około 150 tys. samochodów osobowych, 250 tys. innych wozów, jak autobusy, ciężarówki, furgony

Motoryzacyjne nieporozumienia

netki i o miliony... motocykli. Milionie wehikułów, które praktycznie rzecz biorąc krążą po naszych drogach zaledwie 4 do 5 miesięcy w roku i konsekwentnie mnożą dane w statystycznej rubryce wypadków. Śmiertelność w wypadkach motocyklowych jest dziesięciokrotnie wyższą niż przy wozach osobowych! A tymczasem do roku 1965 liczymy się z „rozmnożeniem” motocykli do 2

i pół miliona. Szał dwóch kółek przybiera rozmiary wręcz szokujące.

Trzy argumenty powtarzają się najczęściej u tych, którzy decydują o karierze motocykla i forsują ją coraz wyżej. Po pierwsze — popyt. Wciąż są chętni, trzeba więc produkować więcej. Po drugie — trudności takie, jak brak surowców, zaplecza technicznego i odpowiednich kooperantów, nieodpowiednich do podjęcia produkcji samochodów i części. Po trzecie —

nieproporcjonalność zarobków do ceny samochodów.

Z każdym z tych argumentów można podjąć dyskusję. Popyt jest, to prawda, ale czy próbujemy oferować obywatelom coś innego? Trudno się dziwić — biorąc co jest. Motocykl to przecież najbardziej dostępny pojazd dla kieszeni przeciętnie zarabiających. Nabycie go wielu traktuje jako wstępny etap

mamy się biernie przyglądać temu, iż za te same pieniądze buduje się mniej fabryk, mieszkań i szkół niż można by wybudować. Ostatnie Plenum KW PZPR zajmowało się tymi problemami na terenie Wielkopolski i podjęło szereg uchwał zobowiązujących aktyw gospodarczy do konkretnego działania nad potaniem naszego budownictwa.

Jeśli chodzi o nasze miejskie inwestycje komunalne, to należy przypuszczać, iż jeśli są objęte planem inwestycyjnym roku 1963, to znaczy, jeśli mają pełną i zatwierdzoną dokumentację, pokrycie finansowe i materiały oraz wykonawcę, to zapewne będą realizowane. Jeśli któryś z tych warunków nie jest spełniony — to może być istotnie kłopot. Wydaje się, iż taki kłopot będziemy mieli z budową nowego ujęcia wody nad

Wartą chociażby ze względu na deficytowe w kraju (ropociąg) rury stalowe.

I na koniec — jeszcze jedna uwaga. Tak się jakoś

złożyło, że pewne czynności dokonane zostały z nas nie w tej kolejności. Najpierw ustalono plan 5-letni, następnie przeprowadzono wielką kampanię rewizji projektów inwestycyjnych, a dopiero potem — analizę rzeczywistych mocy produkcyjnych naszego przemysłu, która powinna być dokonana na samym wstępie. W rezultacie — jak doniosła w tych dniach prasa centralna — w hutnictwie ujawniono np. ukryte dotąd moce produkcyjne pozwalające na zwiększenie bez żadnych inwestycji produkcji stali o 400 tys. ton.

Być może i ten element odegrał jakąś rolę przy podejmowaniu przez Radę Ministrów decyzji o czasowym wstrzymaniu rozpoczynania nowych inwestycji. No bo jeśli po szczegółowym zapoznaniu się z wynikami analizy faktycznych zdolności produkcyjnych przemysłu okaże się, że niektóre z planowanych nowych obiektów są w istocie niepotrzebne? Że ten sam wzrost produkcji można uzyskać mniejszym kosztem z istniejących już fabryk pracujących zazwyczaj tylko na jedną pełną zmianę?

Rozejrzyjmy się wokół. Nawet w naszym gospodarnym Poznaniu — często tak bywa.

do kupna samochodu, licząc się z potaniem wozów. Niestety, rodzima produkcja nie spełnia jeszcze i długo chyba nie spełni nadziei w tym względzie. W najbliższych latach z fabryki żerańskiej wychodzić będzie raptem 28 tys. rocznie „Warszaw” i „Syren”, a ewentualne rozpoczęcie produkcji popularnego samochodu małowrażowego przewidziane jest dopiero na lata siedemdziesiąte. Tymczasem zaś — lecieć będzie rocznie z taśm fabrycznych do 150 tys. motocykli, nie licząc importowanych „Jaw” czy „Pannonii”.

Jeden z moich redakcyjnych kolegów stał się ostatnio obiektem docinków i uszczypliwych uwag. Powód: zdecydował się na kupno „Mikrusa”, wertuje codziennie dziesiątki ogłoszeń. Taka hulajnoga? Cóż, rzeczywiście, nie jest to na pewno najwyższe osiągnięcie techniki, ma jednak dość istotną zaletę: cztery koła z dachem nad głową.

Dokończenie na str. 2

Franciszek Kirlo-Nowaczyk



spotkanie

Raz jeszcze spojrzał spoza gazy w kierunku okna, przy którym siedziała samotna kobieta. W poczekalni poza ich dwójką nie było nikogo, jeśli nie liczyć podstarzałej bufetowej zajętej jakąś robotką.

Pasażerka przy oknie czytała książkę. Sprawiała wrażenie pochłoniętej treścią lektury. Tylko niekiedy podnosiła wzrok na wiszący na ścianie zegar, albo na okno, za którym siał jesienny deszcz.

— Skąd ja ją znam? — uparczywa myśl nie dawała Romanowi spokoju. — Gdzie ja widziałem tę twarz pełną wyrazu, te włosy, dziś już z lekka przprószone siwizną? Skąd znam ten charakterystyczny ruch prawego ramienia? — bił się z napływającą burzą nieskończonych wspomnień. — Musiało to być dawno i w dość skomplikowanych okolicznościach — rozumował. — Tylko gdzie, na Boga? A może to złudzenie, halucynacja, chociaż nie ulegam łatwo czemuś takiemu.

Nie widział, że i oczy samotnej kobiety zwracają się na niego w chwilach, kiedy udawał zajętego czytaniem gazety. Oczy pełne troski i ciekawości, przynurzone z lekka, podczas kiedy czoło kobiety pokrywało się drobnymi fałdami świadczącymi o myślowym wysiłku.

— Ech! — zachnął się. — Zajmuję się, Bóg wie, jakimi głupstwami! Widziałem tę kobietę, czy nie widziałem, co w tym ciekawego? Małoż to podobnych twarzy na świecie? Tak, to prawda. Ale ten charakterystyczny ruch ramienia? Takich rzeczy nie spolyka się co dzień. A więc?

Uniósł znów oczy znad gazety i... w tym momencie dwa spojrzenia, dwójga samotnych ludzi, spotkały się z so-

Z dniem 1 października wejdzie w życie, uchwalona ostatnio przez Sejm, ustawa o wynalazczości. Jej praktyczne skutki dla naszej gospodarki zależą w znacznej mierze od tego, jak rozwiązane zostaną w uzupełniających ustawach uchwałach i rozporządzeniach wykonawczych dwa podstawowe problemy. Pierwszy z nich, to sterowanie myślą wynalazczą i racjonalizatorską tak, by podejmowała ona zagadnienia dla rozwoju produkcji istotne. I drugi: zapewnienie, by rezultat podjętej pracy nie spoczywał w szufladach biur, ani nie był obiektem „spychotechniki” (to już załatwia kolega), ale możliwie szybko znajdował swój dalszy ciąg w hali produkcyjnej.

Wymaga to z jednej strony skonkretyzowania odpowiedzialności za przebieg drogi od pomysłu do przemysłu, z drugiej zaś — zagwarantowania środków materialnych na cały cykl realizacyjny, włączając w to i pewien element ryzyka, często nieodczuwany przy pomysłach skądinąd najbardziej wartościowych. Krótko mówiąc, o działaniu w praktyce nowego prawa wynalazczego zadecydują odpowiednie przepisy, dotyczące organizacji wynalazczości i jej finansowania.

Komitet do Spraw Techniki przygotował już projekty uchwał, które we wrześniu br. poddane jeszcze zostaną pod dyskusję na krajowej naradzie wynalazców racjonalizatorów. Nawiasem mówiąc, dobrze się stało, że odroczone termin tej narady proponowany początkowo na lipiec. Uniknięto w ten sposób dyskusji za-

Grzegorz Ossowski

Przeciw „spychotechnice”

wieszanej w próżni, przygotowano konkretny materiał, nad którym trzeba się gruntownie zastanowić.

Zale i innowacje

Dotychczasowe zale wynalazców i racjonalizatorów są najczęściej następujące: przewlekły tryb rozpatrywania wniosków, daremne

Zanim nowa ustawa wejdzie w życie

często wyczekiwanie na realizację wniosku już przyjętego, no i nie najlepsze metody oceny wartości przyjętego pomysłu, a co za tym idzie i nie zawsze właściwego wynagrodzenia na które poza tym trzeba z różnych biurokratycznych przyczyn bardzo długo wyczekiwać. Projekty uchwał uwzględniają te słuszne zastrzeżenia twórców.

Dotychczas było tak: pomysły rozpatrywał główny inżynier zakładu. Jeśli uznał, że się nie nadają, nikt już dalej (poza samym autorem) nimi się nie interesował. Zwiększa wnioski rozpatrywane miały być w myśl przepisów bezzwłocznie. Określenie to okazało się w praktyce bardzo rozciągliwe. Interpretować można je w każdym razie rozmaicie: gdy tylko będzie na to czas, zaraz po rozpatrzeniu projektów wcześniej zgłoszonych, gdy zajdzie potrzeba itd. W projekcie obecnie opracowywanym termin jest określony w sposób znacznie bardziej obowiązujący: w ciągu 6 tygodni. Ponadto każdy wniosek, już w momencie zgłoszenia, musi być zarejestrowany. A skoro tak, to nie może już zagać między papierami lub zostać odrzucony bez konkretnego uzasadnienia. Twórcy należy się w każdym przypadku definitywna odpowiedź.

Kolejna innowacja: główny inżynier, sam jeden, może uznać projekt, jako nadający się. Ale gdy go odrzuca, wówczas zobowiązany będzie do przekazania go do ponownego rozpatrzenia komisji, w skład której wchodzi m. in. przedstawiciel rady zakładowej, klubu techniki i racjonalizacji, koła NOT.

Znana jest niechęć przedsiębiorstw do opatentowywania pomysłów zgłaszanych przez pracowników. Obecny projekt przewiduje — w przypadku, gdy główny inżynier lub komisja dojdą do wniosku, że pomysł stanowi faktyczną nowość — obowiązek zgłoszenia go w przeciągu 7 dni w Urzędzie Patentowym. Cenne pomysły nie będą chowane pod korem, a autor w razie zastosowania jego pomysłu w innym zakładzie będzie miał prawo do dodatkowego wynagrodzenia.

Wąskie przejście

Z rozpatrywaniem wniosków łączą się pomoc dla racjonalizatora przy ich opracowywaniu. Komitet d/s Techniki ustalił wytyczne,

określające zadania komórek wynalazczości, do których m. in. ma należeć organizowanie pomocy dla wynalazców i racjonalizatorów. Jest to jedna ze spraw, która na krajowej naradzie wymagać będzie szczegółowego omówienia.

A realizacja pomysłów przyjętych? Jak wskazuje statystyka, tu tkwi wąskie przejście na drodze od pomysłu do przemysłu. W przeciwnieństwie do rozpatrywania wniosków gdzie wprowadzono w projekcie

termin, w sprawie wdrażania wynalazków czy pomysłów racjonalizatorskich do produkcji — projekt zachowuje owo wieloznaczne określenie: „niezwłocznie”. Prawda, że trudniej tu ustalić jakiś obligatoryjny termin, gdyż i wynalazki wymagają różnego czasu dla zastosowania i same przedsiębiorstwa różne posiadają w tym względzie możliwości. Wydaje się jednak, że jakiś przynajmniej krótki termin powinien być określony. Także i tę sprawę warto polecić uwadze twórców na ich krajowej naradzie. W każdym razie wynalazki powinny znaleźć swe odbicie w planie techniczno-ekonomicznym i ewentualnie wpływać na korektę tych planów.

Kryteria oceny

Wreszcie — ocena wartości pomysłów i wynagrodzenie twórców. Dotychczas w większości przypadków stosuje się ocenę szacunkową, bardzo nieprecyzyjną, nieraz krzywdzącą. Dlatego projekt zmierza w kierunku ustalenia dokładnych kryteriów oceny poszczególnych pomysłów, w zależności od rodzaju i wielkości korzyści jakie one przyniosą przedsiębiorstwu i gospodarce narodowej. Zasada jak najbardziej słusna. Z jednym zastrzeżeniem: sposób obliczania nie powinien być skomplikowany. Musi go rozumieć autor projektu, a i pracownik dokonujący obliczenia musi bez trudu nim operować. Tymczasem wzory obliczeń efektywności niektórych typów wynalazków, przytoczone w projekcie, przypominają ekonometryczne wzory. Bez rachunku różniczkowego i całkowego — ani rusz. A może jednak da się to ująć prościej?

Ruch wynalazczy i racjonalizatorski wchodzi w nowy okres rozwoju. Świadczą o tym dane cyfrowe: w pierwszym kwartale br. ilość zgłoszonych pomysłów była o 27 proc. wyższa niż w tym samym okresie ubiegłego roku; wprowadzono do produkcji o 17 proc. pomysłów więcej, przy czym — rzecz arcyważna — dających oszczędzić ponad 500 tys. zł było o 65 proc. więcej. Tendencja jest zatem dobra. Chodzi teraz o to, by rozsądnie przemyślanymi przepisami podbudować je i rozszerzyć.

RYZYKANCIE Z POWOŁANIA

Dokończenie ze str. 1

A poza tym zdobądźmy się na odrobinę obiektywizmu: mniej czy bardziej udany, zawsze „Mikrus” to samochód. Znam takich, co nawinęli mu na koła dziesiątki tysięcy kilometrów, wypuszczając się ową „hulajnogą” nawet poza granice kraju.

Abstrahuję tu od takich czy innych błędów konstrukcyjnych polskiego samochodziku, wydaje mi się, że trzeba mu oddać jedno: jest przejawem zdrowej tendencji jaka zakiełkowała kilka lat temu w naszym przemyśle motoryzacyjnym. Jeśli więc nawet „Mikrus” był wozem nieudanym i trzeba było zakończyć jego produkcję — dlaczego zarazem zaprzeczono tendencję przemysłu motoryzacyjnego zmierzającą w kierunku podjęcia prób opracowania innego wozu małodrożowego?

Wybrano wyjście najłatwiejsze dla... przemysłu stawiając na rozwój pojazdów jednośladowych. A tymczasem powtórzmy — motocykl jest pojazdem niewygodnym, nie dostosowanym do naszych warunków klimatycznych. Jeśli wysiłek przemysłu idzie w kierunku produkcji wyrobu, który jest użytkowany tylko przez 1/3 roku — tym samym jest to niesłuszne z punktu widzenia ekonomii i majątku społecznego. „Wsadza się” bowiem surowce, pracę maszyn i pieniądze użytkowników w produkt nie wykorzystany w pełni. Ponadto na motorze ryzykuje się głowę...

Bądźmy realistami, nikt nie jest ryzykantem z powołania. Tragiczny bilans wypadków drogowych również zmusza do zastanowienia się nad profilem produkcyjnym naszej motoryzacji. Jeśli już możliwa jest w obecnych warunkach tylko „mała motoryzacja”, to wesprzyjmy ją jednak na czterech kołach. Chyba warto pokusić się o podjęcie nowych prób zmierzających do opracowania modelu popularnego mikro-samochodu. Nie mamy tu wprowadzić najszcześliwszych tradycji i najbardziej udanych doświadczeń, ale kierunek „na cztery koła” wydaje się słuszniejszy niż dalsze nakłady na rozkwit produkcji motocykli — pojazdów niebezpiecznych i tworzących tylko motoryzację sezonową. Chyba warto pójść w tym kierunku. Zanim zaś narodzi się nowy „Mikrus” — tymczasem należałoby jak najszybciej pomyśleć o zwiększeniu produkcji skuterów — pojazdów bez wątpienia bezpieczniejszych i zdrowszych.

WANDA LASKOWSKA



Ilustr. Ewa Pruska

bą. Patrzyli na siebie długo, nie spuszczać wzroku, jakby jakaś tajemnicza siła zniewoliła ich do tego.

Wargi kobiety poruszyły się w ledwie widocznym uśmiechu. Nie było w tym uśmiechu nic zachęcającego, ani odrobiny załotności, czym tak chętnie oddarzać samotnych mężczyzn samotne kobiety.

Naraz... Roman nie miał już żadnych złudzeń. Nie mylił się już teraz. Wśród wielu oglądanych w życiu twarzy, ta, którą miał przed sobą, była twarzą Jadwigi. Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak łatwo mu przyszło zidentyfikować to imię z kobietą siedzącą pod oknem. To była ona, niegdyś czarnowłosa, młoda, pełna życia Jadwiga, kobieta, z którą zetknął się przypadkowo w drodze do kraju, po wyjściu z kacetu. Ile to lat temu? Chyba wiele, skoro czarne wówczas włosy Jadwigi pokryły się już szronem, skoro i jemu pobieleły mocno skronie.

— Poznał mnie pan? — powiedziała, gdy przysiadł się do jej stolika. — Ja pana od razu poznałam. Tylko zabrakło mi odwagi, pan to rozumie... Co za spotkanie! I to gdzie? Na malej stacji, w poczekalni. Czekam na pociąg do... — dodała zaraz jakby się chciała usprawiedliwić z tej swojej tutaj obecności. — Co za traf!

— Istotnie! — rzekł. — Po tylu latach!

— Pan pamięta coś z tamtych lat? — Nie wszystko się zapomina — odparł sentencjonalnie.

— To było w takim małym, pomorskim miasteczku, przypomina pan so-

Dokończenie na str. 3

Bogusław Kogut

Uczmy się pływać

Miasteczko znane jest z nazwiska swego założyciela, pisarza — humanisty oraz z tego, że jest najmniejszym miastem Wielkopolski. Jedno z dwu jezior otaczających miasteczko jest położone malowniczo wśród lasów i pagórków — więc Miejska Rada Narodowa urządziła tutaj kąpielisko, oczywiście strzeżone, z obowiązkową czarną flagą powiewającą z masztu pod nieobecność ratownika. Kiedy ratownik obejmuje wartę, wciąga flagę czerwoną. Jest bufet bezalkoholowy, kawałek zagrodzonej posadzki, gdzie przy sobocie albo przy innych okazjach odbywają się zabawy. Dojazd do miasteczka łączy, ale Rada buduje nową drogę, wkrótce będzie gotowa.

Barażo tu ładnie — myślę sobie — niby nic wielkiego a

przecież dużo tu zrobiono, dużo wykazano inicjatywy i gospodarskiego zmysłu — najmniejsze miasto województwa nie ma na większego budżetu, a to wszystko przecież kosztowało i kosztuje nadal. W te pogodne rozmyślenia wdiera się okrzyk trwogi: Topią się! Ratunkuuu!

Jeden utopił się rzeczywiście, pozostałych odratowano. Dwóch dorosłych mężczyzn i troje dzieci w jednym kajaku, mężczyźni nieźwi — jak się okazało — trzeźwi. Przeładowany kajak przewrócił się i nieszczęście gotowe. Który to już topielec w sezonie?

Oczywiście, tutaj mieliśmy do czynienia z przypadkiem rzadkiej lekkomyślności. Rada Narodowa nie mogła zrobić więcej jak zagospodarować teren, postawić ratownika (który n. b. w cztery minuty po wypadku wydobyl denata ale i tak już było za późno). Miejska rada (ani nikt inny) nie jest w stanie otoczyć jeziora armią ratowników i milicjantów, którzy będą liczyć pro milę alkoholu w żyłach amatorów kąpeli. Robi się dużo dla zapewnienia bezpieczeństwa na wodach — to prawda. Czy robi się wszystko? I — ile można zrobić?

Wraz z rozwojem motoryzacji rośnie liczba wypadków na dro-

gach — i to jest do pewnego stopnia nieuniknione. Wraz z ogólnym postępem cywilizacyjnym liczba wypadków śmiertelnych na wodach nie powinna wzrastać, powinna maleć. Czy maleje? Statystyki mówią raczej co innego.

Nie bez znaczenia jest tutaj fakt, że pływactwo, nie tylko jako dyscyplina sportu wyczynowego ale jako podstawowa umiejętność gwarantująca jakieś bezpieczeństwo na wodzie — nie jest u nas zbyt rozpowszechnione. Ogólnie biorąc — nie umiemy pływać.

Obowiązkowa nauka pływania w szkole — to brzmi bardzo pięknie i obiecująco. Ale jaki procent młodzieży kończącej szkołę podstawową jest w stanie zdać minima na kartę pływacką? O wiele za mało mamy basenów pływackich czy nawet otwartych kąpielisk. Budowa takich obiektów sporo kosztuje. Ale trudności natury ekonomicznej nie tłumaczy wszystkiego. Po prostu sprawa wychowania fizycznego młodzieży w ogóle a przygotowania pływackiego w szczególności przecieka nam jakoś przez palce jak rzecz drugorzędna, mało ważna. O tym wie każdy nauczyciel wu-efu.

Każdego lata szpalty gazet straszą statystykami topielców,

każdego lata ginie pewna ilość ludzi głównie dlatego, że nie mieli możliwości nauczyć się sztuki pływania. A możliwości tej nauki wcale się nie polepsza — a w każdym razie nie polepsza się w sposób widoczny. Moja córka, która bardzo pragnie umieć porządnie pływać biega na drugi kraniec miasta (pardon — dzielnicę), by dwa razy w tygodniu znaleźć się na pół godziny na basenie. To poza szkołą, dzięki klubowi sportowemu. Nie każdemu dzieciakowi starczy energii i zapału, by wkreść się do klubu, uczyć się pływania na własną rękę.

Daleki jestem od rzucania nie-realnych haseł w rodzaju: „W każdej szkole basen z trampoliną”, nie postuluję także zastąpienia lekcji matematyki nauką pływania. Ale kiedy nad malowni czym jeziorem stanowiącym pierwszą i ostatnią atrakcję najmniejszego miasteczka rozlega się krzyk tonącego — opadają człowieka wątpliwości: czy aby robimy wszystko dla uchronienia naszych dzieci przed niebezpieczeństwem „mokrej śmierci”?

nad i

Sprawy poznańskiej nauki

Koordynacja? — Tak!

Dokończenie ze str. 1

wyeliminować sprawy mniej ważne na rzecz ważniejszych, tam dopiero można zapewnić współdziałanie i pomoc. Bez takiego współdziałania będziemy tracić szanse skuteczniejszego działania, będziemy nieświadomie wpływać hamująco na nasz rozwój.

Uczelnia — instytucja

Wiele interesujących możliwości współdziałania istnieje między uczelniami a pokrewnymi instytucjami naukowymi istniejącymi w Poznaniu. Instytuty z reguły posiadają lepszą i nowocześniejszą aparaturę, przeważnie niedostatecznie wykorzystywaną. Uczelnie natomiast z reguły dysponują licznější, bardziej doświadczoną, na wyższym poziomie kadrą naukową. Niestety, współdziałanie między uczelniami a instytucjami pozostawia wiele do życzenia. Pozytywnym przykładem w tym względzie służy Instytut Ochrony Roślin, z którego urządzeń szeroko korzystają pracownicy Wyższej Szkoły Rolniczej. Dzięki korzystaniu z aparatury IOR zrobiono na WSR wiele doktoratów i prac naukowych. W tym przypadku okolicznością sprzyjającą jest zapewne fakt, iż rektorem WSR i dyrektorem IOR jest ten sam człowiek, przeto koordynacja jest wybitnie ułatwiona. Ale już współpraca między WSR a Instytutem Technologii Drewna, mimo że kadra naukowa WSR pracuje jednocześnie w Instytucie, wygląda znacznie gorzej.

Podobnie i Politechnika Poznańska mogłaby zapewne bardziej zadzierżgać współpracę z Centralnym Laboratorium Instytutu Obróbki Plastycznej i Instytutem Maszyn Rolniczych. Podobnie rzecz się ma z Instytutem Włókien Łkowych oraz kilkunastoma placówkami Polskiej Akademii Nauk. W każdej z tych uczelni czy instytutów znajduje się wiele cennej aparatury, z której mogłoby w pewnej mierze korzystać także pracownicy innej uczelni czy instytutu. Tu jeszcze jeden przykład. W IOR znajduje się bardzo cenna aparatura mikroskopii elektronowej. Akademia Medyczna już zwróciła się do IOR o udostępnienie tej aparatury i współpracę. Kierownictwo IOR jest skłonne urządzić na bazie posiadanej aparatury centralną placówkę dla całego poznańskiego środowiska naukowego. Czy do tego jednak dojdzie? Nie wiadomo, bo przecież nie ma

w Poznaniu platformy zawiązania odpowiedniego porozumienia, nie ma ciała (kolegium), które by mogło sprawę rozpatrzyć i ustalić warunki współpracy.

Innym przykładem mogą być badania w zakresie izotopów promieniotwórczych, które prowadzą wszystkie niemal uczelnie i instytuty (pomijając artystyczne). Jakże tu istnieje kapitalna możliwość wymiany doświadczeń! Albo dziedziną inwestycji. Poszczególne zakłady naukowe formułują swoje wnioski inwestycyjne, co nie zawsze znajduje zrozumienie na najwyższym szczeblu ministerialnym z powodu niedostatecznego uzasadnienia. Gdyby jednak wystąpić solidarnie w skali całego ośrodka naukowego, przygotować argumenty, że dana inwestycja jest potrzebna nie tylko jakiemuś wydziałowi lub uczelni, lecz wszystkim uczelniom i instytutom naukowym sprawa mogłaby mieć znacznie lepsze widoki powodzenia.

Kto zainicjuje?

Argumentów na rzecz koordynacji można by znaleźć mnóstwo. Kto ma jednak wystąpić z inicjatywą powołania jakiegoś ciała koordynującego? Jaki miałby być skład takiego ciała? Na te pytania nie łatwo odpowiedzieć. Inicjatywa pojedynczej uczelni z rozmaitych względów mogłaby spalić na panewce. Wydaje się, że najwłaściwszym forum dla przeistoczenia sprawy i znalezienia koncepcji byłaby Komisja Nauki przy Wydziale Nauki i Oświaty KW PZPR. Tam na początku roku akademickiego mogłoby się spotkać kierownicy uczelni i instytutów oraz przedstawiciele rad narodowych (wojewódzkich i miejskich) i rozstrzygnąć zagadnienie koordynacji naukowej. Z góry warto przestrzec przed powoływaniem zbyt licznych kolegium i przed nazbyt częstymi zebraniem, które by zajmowały wiele czasu ludziom, dla których właśnie czas jest najcenniejszy. Może po plenarnym posiedzeniu dalsze problemy byłoby już rozwiązywać w mniejszych komisjach?

To są już jednak sprawy szczegółowe, na które ewentualne kolegium rektorskie znajdzie lekarstwo. Najważniejsze by zagadnienie koordynacji nauki ruszyło wreszcie z martwego punktu. Gra wydaje się być warta nie jednej świeczki.

MIECZYSLAW SKĄPSKI

Olgiard Błazewicz

Pomyłka drogo kosztuje

Egzaminy wstępne na wyższe uczelnie zostały zakończone. Poznaniowi przybyło około 2,5 tys. studentów. Jak był przebieg egzaminów, jak władze uczelnie oceniają poziom tegorocznych kandydatów? Profesorowie są na ogół zadowoleni, młodzież jest nieco lepiej przygotowana niż w latach ubiegłych. Dużo jednak zastrzeżeń budzi nadal sama rekrutacja do szkół wyższych. Zgłoszenia napływają „falami”, jeśli jakaś szkoła przesyła papiery swych uczniów, powiedzmy na Uniwersytet, to prawie połowa jakiejś klasy z reguły wybiera ten sam kierunek studiów; najczęściej prawo, psychologię czy etnografię.

Powstaje wrażenie, że w dalszym ciągu rekrutacja kieruje jakiś „owczy pęd”, jakiegoś ko-

Na Akademii Medycznej zgłosiło się 720 osób, przyjęto 380. Najtrudniej oczywiście było się dostać na wydział lekarski, gdzie o jedno miejsce ubiegało się dwóch kandydatów, najłatwiej natomiast na farmację, gdzie liczba zgłoszeń była nieznacznie wyższa od limitu przyjęć. Egzaminów nie zdało 250 osób, z braku miejsca nie przyjęto 60 kandydatów; wszyscy oni starali się o przyjęcie na wydział lekarski.

Również na Politechnice nie wystarczyło zdać egzamin, aby być przyjętym na studia. Z braku miejsca odpadło 80 osób, około 200 kandydatów nie złożyło egzaminów. Politechnika Poznańska przyjął 400 studentów.

Wyjątkowo wysoka liczba zgłoszeń otrzymała w tym roku Wyższa Szkoła Rolnicza, na egzaminy stawili się blisko 900 kandydatów. Przyjęto 475. Najwięcej zgłoszeń napłynęło na oddział technologi rolnospożywczej dysponujący tylko 70 miejscami. Zgłosiło się tu 280 osób. Niepokojąco

wygląda sprawa na rolnictwie; choć podjęta tych studiów wyraziło tylko 145 osób, choć uczelnia ma limit na 180 osób. Poziom kandydatów na WSR był wyższy niż w latach ubiegłych, egzaminów wstępnych nie zdało tylko 170 osób.

Wyższa Szkoła Ekonomiczna na podniosła dość znacznie w tym roku limit przyjęć, najlepszy to dowód, że jej absolwenci są bardzo potrzebni gospodarce narodowej. Mimo to liczba przyjętych na studia jest, chociaż nieznacznie, niższa od ustalonego limitu. Studia ekonomiczne podejmie w nowym roku akademickim 300 studentów. Na egzaminy wstępne stawili się 390 osób.

Na Wyższej Szkole Wychowania Fizycznego przyjęto 120 studentów, w wyniku badań lekarskich i egzaminów sprawnościowych i teoretycznych odpadło 17 osób.

W poznańskich szkołach artystycznych podejmie naukę blisko 100 studentów. Na studia w Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych zgłosiło się 90 osób. W wyniku egzaminu konkursowego przyjęto 34 studentów. Najwięcej zgłoszeń napłynęło na architekturę wewnętrzną, o 14 miejsc na tym wydziale ubiegało się 51 osób, znacznie mniej, bo tylko 19, wyraziło gotowość studiowania na wydziale malarstwa. Przyjęto tu 13 osób. O dostanie się do Wyższej Szkoły Muzyki, gdzie starło się 185 kandydatów. W wyniku egzaminu zakwalifikowało się 66 osób, są to wyłącznie tylko uczniowie średnich szkół muzycznych. Najwięcej osób obratło studia na wydziale instrumentalnym i wokalnym. Najmniejszą popularnością cieszył się kierunek pedagogiczny, zapisało się tu tylko siedmiu kandydatów. Przyjęto dziesięciu, bowiem już w czasie egzaminów dokonano się przetasowania między wydziałami.

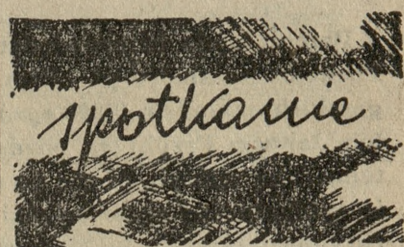
Z nowym rokiem akademickim rozpocznie studia na poznańskich wyższych uczelniach 2500 studentów, limit globalny wynosi 2900 miejsc.

Jakie stąd wnioski?

Nie wszystkie kierunki studiów mają zapewniony równomierny napływ kandydatów. W szkołach średnich nadal zawodzi akcja propagandowa, mająca na celu zachęcanie młodzieży do podjęcia studiów na kierunkach najbardziej potrzebnych gospodarce narodowej, dających zarazem najlepsze możliwości zatrudnienia. Za mało jest zgłoszeń na Wyższą Szkołę Ekonomiczną, na wszelkie kierunki filologiczne, na rolnictwo i fizykę uniwersytecką. Młodzież chyba jeszcze za mało realnie patrzy na swe przyszłe studia, wieść o błyskotliwej karierze któregoś z inżynierów, lekarzy czy psychologów powoduje, że w określonym środowisku gwałtownie wzrasta chęć podjęcia studiów w tej specjalności. Szkoły średnie powinny, począwszy gdzieś od półrocznej, jedenastej klasy, w ramach lekcji wychowawczych, uświadamiać młodzież o charakterze studiów, zachęcając do obierania specjalności najbardziej potrzebnych gospodarce narodowej. Weźmy dla przykładu fizykę uniwersytecką. Pozostało tu wiele wolnych miejsc, a jednocześnie przecież ponad 80 osób które złożyły egzamin wstępny na Politechnikę, nie dostało się na studia. A w przemyśle potrzebni są również fizycy po uniwersytecie.

Jakże często spotykamy się z ludźmi niezadowolonymi ze swego zawodu, że pracującymi. Pomyłka przy wyborze zawodu drogo później kosztuje. I obywatela, i państwo. Przy podejmowaniu decyzji o studiach trzeba dużo rozważyć i pełnego rozważania w charakterze samych studiów. Kto je ma dać młodzieży, dopiero wkraczającej w życie? Przede wszystkim szkoła średnia, być może i poradnie psychologiczne, no i same wyższe uczelnie.

Feliks Fornalczyk



Dokończenie ze str. 2

bie. Nazywało się to miasteczko Penkun.

— Spotkaliśmy się — włączył się szybko — przed miasteczkiem. Było u-palne lato. Ja w pasiaku, pani w pasiaku. Dwoje ludzi, którym chciało się żyć dalej.

— Poczęstował mnie pan taką złącą pomarańczą... Złota pomarańcza i dziewczyna w pasiakach. Nie do pomyślenia! Jakże mi smakował ten zagraniczny owoc.

— Podzieliła się pani ze mną — przypomniał.

— Och! Taką małą odrobinę tego słońca pan skosztował! Potem już wędrowaliśmy razem. Do Odry i dalej. Zwierzałyśmy się sobie nawzajem z naszych myśli i planów na najbliższą przyszłość. Pan o swojej młodej żonie i dziecku, ja...

— O narzeczoną, który czekał...

— I co? — zapytała westchnawszy.

— Nie zastałem żony i dziecka, ani domu. Zostałem sam, jak kółek w płocie. Dom leżał w gruzach, pod gruzami moi najdrożsi... a pani?

— Ja? — charakterystyczny ruch ramieniem. — Co ja mogę o sobie powiedzieć? Jestem jak pan, samotna.

— Pani chłopiec zginął?

— Nie, nie zginął. Żyje...

— Nie rozumiem.

— Są rzeczy na świecie, których się nie rozumie. Zawiodłam się w swoich uczuciach. Raczej, to ktoś mnie zawiodł... Moje nieszczęście jest mniejsze od pańskiego.

— Tylko ta sama samotność.

— Może... Nie winię nikogo. Tym bardziej tego człowieka, który uwiarył w moją śmierć.

— To tak? — nie ukrywał swego zdumienia.

— Ludzka rzecz, panie Romanie — po raz pierwszy nazwała go po imieniu.

— Trzeba było...

— Wiem, co pan ma na myśli. Nie umiałam i nie chciałam. Wybrałam samotność. Jak wiele innych kobiet. Pracuję, nieźle zarabiam i żyję jakoś. Jeśli się dobrze domyślam, pan też...

— Tak i ja wybrałam samotność.

— Jacy z nas romanycy! — zaśmiała się ciepło.

— Nie ostatni z ostatnich.

— Z pewnością... — powiedziała bez przekonania. — Deszcz — zmieniła nagle temat rozmowy, patrząc w okno. — Lubię taką jesienną pogodę. Wraca się wtedy chętnie do wspomnień. I ja-koś się żyje — dodała wesoło. — Samotność nie zawsze bywa dokuczliwa, prawda?

— Myślę, że tak. Dopóki tych wspomnień wystarczy.

— Zbyt dużo ich, by się mogły wyczerpać. I tym mniej bolesne, im bardziej czas, łagodny lekarz, oddala nas od nich.

Zamilkli. Ona zapatrzyła się w okno, jakby dostrzegła za nim coś ciekawego, Roman przysiadł się z zainteresowaniem twarzy kobiety. Odezwał się po chwili.

— Mam prośbę do pani.

— Do mnie?

— Proszę o adres pani.

— Och! Z przyjemnością!

— Będziemy pisywać do siebie, dobrze? Bo widzi pani, są w życiu takie chwile, kiedy chciałoby się komuś z czegoś zwierzyć, poprosić o życzliwą radę... Pani mnie rozumie?

— Rozumiem.

— I pani będzie odpisywać na moje listy?

— Będę... ale zdaje się, że za chwilę będę miała swój pociąg. Muszę pana pożegnać. Pan nie w tym kierunku, co ja?

— Nie... — zaprzeczył zmieszany.

— Do widzenia, panie Romanie!

Odwrociła się jeszcze w progu i Romanowi zdawało się, że... Ech! Chyba uległ złudzeniu.

Ruszył wolno w stronę bufetu. Bufetowa podniosła głowę znad robólki.

— Czy to pana znajoma, panie profesorze? — zapytała zbyt nachalnie.

— Dlaczego pani pyta?

— Bo kiedy odchodziła, uśmiechnęła się tak ładnie... Do pana...

— Uśmiechnęła się? — odechnął głęboko z ulgą.

— Pan tu znów jutro przyjdzie?

— Nie, nie będę tu już więcej przychodził. Żegnaj, panino Joliu!

Wkrótce w małym miasteczku rozszalała się wieść, kolportowana gorliwie przez listonosza, że pan profesor Roman Wigulski otrzymuje zbyt często listy w różowych kopertach — i że prędzej czy później pożegna się jeżeli nie z miejscowym liceum, to na pewno z swoją wieloletnią samotnością...

FRANCISZEK KIRLO-NOWACZYK

Baedeker poetycki

ZIELONA GÓRA

Miasto to, jak żadne inne, kwalifikuje się do baedekera poetyckiego. Większość bowiem wydanych książek autorów zielonogórskich to zbiory wierszy. Trudno wnosić, aby przyczyną tego rozpoetyzowania miała być jakaś swoista atmosfera miasta, jak w Szczecinie, to raczej efekt młodości literackiej Zielonej Góry, która wypowiada się formami najbardziej odpowiadającymi młodym, to jest utworami poetyckimi.

Tomiki poetów Zielonej Góry znalazły już dość duży oddźwięk w kraju. Wiersze Janusza Koniusza zdobyły uznanie Juliana Przybosi, Biblioteczka poetyckiej zielonogórzan poświęciła ostatnio większy esej krytyczny we „Współczesności” Bohdan Drozdowski. Drozdowski pisał o utworach poetów Zielonej Góry, ale miał na uwadze zjawiska ogólniejsze: wątpliwej wartości cierpiętnictwo najnowszej poezji, sentymentalną pozę, bierność intelektualną.

Szczegółowa analiza tomików Henryka Szykła i Bronisława Suzanowicza upoważniła Bohdana Drozdowskiego do stwierdzenia, potwierdzonego wielu innymi tomikami młodych poetów, że „beztwarzowość jest chorobą nr 1 „młodej poezji” współczesnej”. Drozdowski wzywa przeto młodych autorów do odwagi pisania o sobie, do zrywania z szablonem posługiwanym się cudzymi fabrykami pojęciami, do kształtowania własnego je-

zyka i własnej odrębności, do wyraźnego wreszcie określenia celu czy idei utworu poetyckiego.

Pośród poetów zielonogórskich wy-mogom tym daje wprawdzie przed wszystkim twórczość Bolesława Solińskiego, który — jak pisze Drozdowski — „cały jest w niezmiernie uważnym patrzeniu na przedmioty związane z człowiekiem... pisze zwykle tak, jakby świat składał się wyłącznie z rzeczy oświe-tlonych lub skończonych”. Dowody w zbiorze „Przemyśli”, wydanym w roku 1958 przez Lubuskie Towarzystwo Kultury.

Idąc dalej śladem spostrzeżeń Bohdana Drozdowskiego, Janusz Koniusz — poeta z wszystkich zielonogórzan najbardziej już skryształizowany i świadomy swoich dążeń — „patrzy na świat oczyma szeroko otwartymi, opisywa doznania oka i ucha, pogrąża się we wszystkie tzw. „drgnięcia natury” jak kropa we wnętrzu kwiatu”, dysponuje też „naprawdę świadomym warsz-tatem wrażliwość”. Potwierdza to zwłaszcza drugi tomik Koniusza, wydany przed rokiem przez Wydawnictwo Poznańskie, pod tytułem „Tempo krążenia”.

Zdarzają się wprawdzie i u Janusza Koniusza zapożyczenia od innych poetów, przede wszystkim od przedstawicieli awangardy Peiperowsko-Przybosiowej, zdarzają się wiersze przekonkowane, wyszleryzowane z wszelkiej poetyczności, trafiają się jakieś nieprzekonywające metafory, ale te pojedyncze wypadki „szadzenia się” nie zmniejszają w niczym szczerości, autentyczności i wyraźnie zaznaczonej już u Koniusza odrębności widzenia i obrazowania.

Do tych dwóch, to znaczy do Bolesława Solińskiego i Janusza Koniusza, wypadnie jeszcze dołączyć zbiorok wierszy Zdzisława Morawskiego, wrażliwego portrecisty spraw małych miastec-

zek i własnych kompleksów, poety może mniej odkrywczego w zakresie stylu i sposobu widzenia, ale nie pozbawionego szczerości i rzetelnej kultury literackiej. Dowodem tego jego wiersze zawarte w tomiku „Pejzaż myśli”, opublikowanym w roku 1959 przez Wydawnictwo Poznańskie.

Barwy smutku, motywy bezradności człowieka, pojawiają się w wierszach Eugeniusza Wachowiaka, w tomiku „Afryka poety”, wydanym przez Wydawnictwo Poznańskie w roku 1958, lecz mają one w ujęciu Wachowiaka wyraz bardziej zobiektywizowany, nie wynikają ze spowiedzi własnych stanów uczuciowych poety, a raczej z refleksji filozoficznej. Wskazuje na to przede wszystkim pierwsza część tomiku, nazwana „Ramy do autopoortretu”. W innych utworach Wachowiaka więcej jednak sugestii lektur, niż własnych propozycji.

Jeśli zważyć, że właściwy start książkowy poetów Zielonej Góry przypadł dostojnie na ostatnie trzy, cztery lata, te kilka nazwisk to wcale nie mało. Jednakże jakiegoś bardziej zobowiązującego opinie o środowisku poetów miasta festiwalu winiarskiego będzie można dopiero sformułować za dalsze trzy, cztery lata, kiedy wydadzą swoje własne tomiki poeci, którzy obecnie drukują swoje pierwsze wiersze.

W wydaniach almanachowych — było ich dotąd przynajmniej trzy — pokazało się już sporo nowych, nieznanych szerzej nazwisk młodych poetów Zielonej Góry. Odnotowuję Witolda Hussakowskiego, Henryka Klejnowskiego, Ingeborgę Bieniek, Irenę Solińską, Romualda Szure, Zenona Czarnieckiego, Czesława M. Czyżę, Irenę Dowgielewiczową, Tadeusza Firleja, Henryka Mycia, Florianę Nowickiego, Tadeusza Sojkę...

Najciekawsze zapowiadają się z tego grona przede wszystkim Irena Dowgielewiczowa, Tadeusz Sojka i Tadeusz Szura. Ale właściwy sąd o nich wyda dopiero czas przyszły.

Przeczytajcie te opowiadanka! Krótkie, dowcipne, złośliwe — oto najważniejsza ich zaleta. Pochodzą ze zbioru pt. „Przygody dżentelmenów”, który niedawno ukazał się na półkach księgarskich nakładem (8000 egz.) Wydawnictwa Poznańskiego. „Przygody” są książkowym debiutem Janusza Przybysza, poznańskiego (jednego z nielicznych) satyryka. Zawarliśmy z nim dżentelmeńską umowę, że raz po raz coś nam podrzuci do druku. Nie mamy podstaw przypuszczać, że sympatyczny autor książki o takim tytule nie dotrzyma słowa. O samej książce pisaliśmy (w superlatywach) już dwa razy.

Janusz Przybysz

O KOWALSKIM

który kupił telewizor

W dawnych czasach, za siedmioma górami i siedmioma rzekami żył pewien Kowalski. Był on kawalerem i wiodło mu się dobrze. Aż oto pewnego dnia przysła do Kowalskiego Baba Jaga i powiedziała:

— Phi! Taki Malinowski ma telewizor, i taki Jasiński ma, i taki Nowak ma, a taki Kowalski nie ma.

— To prawda — rzekł Kowalski. — Lecz Kowalski wychodzi wieczorami na spacer, obcuje z przyrodą, słucha śpiewu słowików i nie umrze na zawał, i będzie żył długo dla tej, która go zechce.

— Phi! — zawołała ponownie Baba Jaga. — Nie wiadomo, czy która zechce, bo ja nie!

I umknęła połą dróżką ku ciemnym lasom, gdzie czekały na nią stare leśne lowelasy.

Patrzył za nią Kowalski, patrzył i nie mógł się napatrzeć. I nogi ten tego, i te de owszem, i w ogóle.

„Niech strąć — pomyślał. — Kupię ten telewizor”.

Z TEK I ST. MROWIŃSKIEGO



Ewa Pruska

ozdoba (graficzna)
„Głosu Tygodnia”

Wtedy Baba Jaga wróciła i pobrała się, i spędziła przy telewizorze wiele dni, nocy i lat.

I byłoby tak bez końca, gdyby pewnego dnia nie przyszedł z lasu stare lowelasy. Odłąd przychodziły codziennie i wspólnie oglądały program i tak się przyzwyczaiły, że nawet gdy Kowalski wyjeżdżał na delegacje służbowe, lowelasy spędzały w jego domu dni, noce i lata.

— Jakże to? — zaoponował w końcu Kowalski. — Przecież kupiłem telewizor, aby dorównać w twych oczach Malinowskiemu, Jasińskiemu i Nowakom.

— Owszem — rzekła Baba Jaga. — Co jednak zrobisz, aby dorównać lowelasom?

PREZENT

O d dłuższego już czasu nurotował mnie problem upominku gwiazdkowego dla najbliższych. Chciałem dać im coś serdecznego, co zostawiłoby ślad w ich duszach, nawet gdy mnie już zabraknie.

Po długich wahaniach zdecydowałem, że wystreżę satelitę. Własnej konstrukcji, własnego pomysłu i budowy, na oczach tych, których kocham. Niech widzą i odczują naocześnie.

Zadanie, które sobie postawiłem, było szalenie. Wzając się na ten wielki czyn, nie pomyślałem, jakiego wysiłku będzie wymagało uzyskanie rury od piecyka, która stanowiła część nośny i komorę wybuchową rakiety. Kiedy wzmiankowaną rurę udało mi się wreszcie nabyć dzięki protekcji szwagra, członka spółdzielni rzemieślniczej zdunów, odczekałem z ulgą i przygotowałem młotek i dółko.

Nieźle wyposażenie techniczne i zapał z jakim przystąpiłem do pracy, zwyciężyły. Po ośmiu tygodniach, dzięki zobowiązaniu podjętemu dla uczczenia rocznicy uzyskania rury, udało mi się rozdzielić wnętrze rakiety na dwie części. W górnej umieściłem kilogram karbidu i pół litra denaturatu, w dolnej nastąpić miała eksplozja mieszanek. Na górnym wylocie rury osadziłem właściwego satelitę. Była to aluminiowa kula zlitowana z dwóch łyżek wazowych, po odjęciu „rączek”. W satelicie umieściłem dwadzieścia żywych pluskiew, dla obserwowania reakcji organizmów inteligentnych na promieniowanie kosmiczne i uderzenia meteorytów.

Na miejsce odstrzelenia wybrałem ogród warzywny mego wuja, agronoma, a godzinę odstrzału wyznaczyłem na 16,20 dnia 24 grudnia, kiedy to, zgodnie z przepowiednią astronomów, pierwsza gwiazda zabłyśnie na niebie. Rakietę ustawiłem w warzywniku na podjeździe z cegły dziurawki, którą nabyłem w chwili zmniejszonej czujności stróża nocnego.

O oznaczonej godzinie zebrał się w ogrodzie przyjaciele i krewni, a wuj okleił szyby w oknach paskami papieru.

Wtedy podszedłem do rakiety. Stała dumna i groźna, a promienie zachodzącego słońca skrzyły się na satelicie, którego połowa krągliła się na szczycie pocisku.

Odwrociłem się raz jeszcze ku domowi i gorzki uśmiech na moment wybiegł na me usta. Wszyscy mnie opuścili. Tylko zza węgła drewnianej wystawał tchórzliwie buć numer czterdzieści pięć. Byłem sam. Wiatr poruszał konarami, na chlewie siedział gawron, wysoko na niebie mrugnęła pierwsza gwiazda.

Pewną dłoń podlałem karbid. Usłyszałem syk w rurze, szybko zakorkowałem otwór i padłem na ziemię. Liczyłem sekundy: dwie, trzy, dziesięć, trzydzieści...

Był czas. Wyjąłem z kieszeni świecę, zapaliłem ją i przytknąłem do wylotu. Świeca płonęła jasnym płomieniem... Przyjaciele i krewni ostrożnie zaczęli wychodzić zza węgła.

— He — rzekł niepewnie kolega.

— He, he! — zaśmiał się najlepszy przyjaciel.

— Nie wyszło — podsumował wuj.

— Ano, cóż? Na wigilię, kochani.

W tej chwili błysnęło.

Huk był raczej głuchy i tępy. Rakietę poderwała się ciężko, wionęła mi w twarz tumanem czarnej sadzy i z głuchym łoskotem spadła na warzywnik. Jedynie satelita pobiegł dalej, rozbił zaklejoną paskami szybę i wpadł do sypialni wuja.

Szliśmy wolno ogrodem. Z rakiety wypelzały smutne dymy. Z domu dobiegł nas szalenie krzyk wuja. Przyspieszyliśmy kroku.

Na środku sypialni leżał satelita. Siła upadku rozłupała go na dwie połowy.

— Oooo... — zawodził wuj. — Przepadłem, zginąłem, na zawsze przeminął mój spokój!

Podbiegliśmy ze zgrozą.

Satelita był pusty.

Eugeniusz Pauksztla

Nareszcie nowości

Po okresie dosyć długiej posuchy, nareszcie sporo nowości beletrystycznych, szczególnie ponętnych w okresie urlopowym. W dzisiejszym przeglądzie pragnęlibym przedstawić co cenniejsze z tych książek.

W PIW-ie ukazało się kilka wartościowych przekładów. Niewątpliwie szeroki krąg entuzjastów znajdzie przełożone przez B. Sieroszewską z włoskiego powieść Luigi Capuana „MARGARITA DI ROCCAVERDINA” najdorzyszły utwór czołowego włoskiego naturalisty, gdzie głębokie studium problemu zbrodni i wyrzutów sumienia ma za tło feudalny obraz prowincji sycylijskiej, okrutny, surowy, złączony ściśle z przyrodą, przy tym pełen swoistej romanetyki. Drugą pozycją PIW-owską będzie przełożona przez A. Sieczkowskiego powieść balladowa znanej pisarki słowackiej Margity Figuli „TRZY KASZTANKI”, na tle przyrody orawskiej ukazana wielka miłość Piotra i Magdaleny. Ciekawe studium psychologiczne, piękny, klasyczny niemal styl, barwna fabuła, oto niektóre z walorów tej miłośnej ballady słowackiej. Skoro jestem przy pozycjach PIW-u, nie mógłbym nie wymienić tomiku „Z POEZJI WIETNAMU”, w wyborze i przekładach Marii Kureckiej, Witolda Wirpszy oraz Thanh-Le, poety wietnamskiego, studiującego w Polsce. Jest to pierwszy u nas wybór poezji bitnego, dzieła narodu, wybór trafny, ukazujący piękno i nastrój dalekiej krainy, gdzie pieśń i poezja długo były głównymi czynnikami podtrzymywania i otuchy w trudnej walce.

W najnowszym serwisie „ISKIER” zuraca przede wszystkim uwagę debiut książkowy znanego reżysera, Edmunda Gluchowskiego. Wybór opowiadań pt. „DOM” ujmuje świeżością i przenikliwością spojrzenia na sprawy znane i proste, a przecież ukazywane przez autora w nowym, poszerzonym wymiarze. Język jest prosty i klarowny, fabułę osnują cieniutki podkład filozoficznej zadumy, wynikającej z autorskiego przyglądania się życiu, niby tak powszedniemu, a tak zarazem zaskakującemu w tej swojej powszedności. „ISKRY” także ładnie wydają „SZKARŁATNE ZAGŁE” i „ZŁOTY ŁAŃCUCH” (w jednym tomie), doskonale utwory Aleksandra Grina (Gryniewskiego) rosyjskiego Edgara Poe i Jacka Londona zarazem, człowieka związanego z polskością poprzez ojca - powstańca z 1863 r. Fantastyka przepiękna romantyka, dalekie światy, bogata fabuła, doskonały rysunek psychologiczny bohaterów, oto zalety pisarstwa Grina. Nadmienię warto, że rów

nież nakładem „ISKIER” ukazało się IV wydanie popularnej, zwłaszcza wśród starszej młodzieży „WYSPI SKARBOW” R. L. Stevensona.

WYDAWNICTWO ŁÓDZKIE z ujmującą konsekwencją publikujące utwory współczesnych pisarzy polskich, notuje obecnie dalszych kilka sukcesów edytorskich. Aleksander Minkowski, jeden z najciekawszych pisarzy młodego pokolenia, publikuje nową powieść, „URLOP NA TAHITI”, będącą próbą spojrzenia na czas okupacyjny i nawiązane wtedy współzależności ludzkie w powojennych warunkach. Problem żydowski pokazany został tutaj w nowy sposób, w zmiennych warunkach zewnętrznych, w coraz innych sytuacjach psychologicznych. Powieść Minkowskiego jest ambitna, choć chwilami braknie jej ostatecznego szlif.

Leon Gomolicki w „BIAŁYM RUNIE”, ambitnie i śmiało sięgnął po tak zwany „temat produkcyjny”, mianowicie stosunków ludzkich w układzie spraw związanych z białym runem — bawełną. Autor zna doskonale realia życia robotniczego, zna Łódź i jej klimat, zna fabrykę, nade wszystko zaś — rozumie psychikę ludzką. Dlatego powieść może być żywa i zbliżająca czytelnika ciepłym stosunkiem Gomolickiego do człowieka. Ostatnią z nowości Wyd. Łódzkiego jest tom wspomnień Romana Zrebowicza „SPOTKANIA Z CZASEM”. Autor, znany filolog, literat, historyk sztuki, spec od muzealnictwa, wódcę po świecie, redaktor czasopism artystycznych, coż dziwnego, że wiele przeżył, wiele zapamiętał, teraz zaś potrafił świetnie opisać. Ożwa stara fukierowska Warszawa, przypominają się spotkania z takimi tuzami, jak Sienkiewicz, Orzeszkowa, Paderewski, Staff, Tuwim, jawi się wreszcie Paryż, zwłaszcza Montmartre'u, jest i anegdota, i ciepłota lezka, jest nade wszystko ukochanie sztuki i jej wielka znajomość.

„CZYTELNIK” wznowił głośną powieść Mateusza Janara „SAMOTNE KRUKI”, zbeletryzowany autentyk wspomnieniowy z walk partyzanckich na Wileńszczyźnie, jeszcze jeden przyczynek do historii okupacyjnej. Do lat już przedwojennych, 1937—39 we Lwowie, cofa się nowa powieść Edwina Jędrkiewicza „DAIMONION TI”, barwny, świetnie podpatrzony obraz nastrojów społeczeństwa polskiego w okresie przedurzędniowym. Szczególnie ciekawe są karty, ukazujące Gdańsk latem 1939, gdy terror bojówek hitlerowskich sięgał już szczytów.

„CZYTELNIK” wznowił głośną powieść Mateusza Janara „SAMOTNE KRUKI”, zbeletryzowany autentyk wspomnieniowy z walk partyzanckich na Wileńszczyźnie, jeszcze jeden przyczynek do historii okupacyjnej. Do lat już przedwojennych, 1937—39 we Lwowie, cofa się nowa powieść Edwina Jędrkiewicza „DAIMONION TI”, barwny, świetnie podpatrzony obraz nastrojów społeczeństwa polskiego w okresie przedurzędniowym. Szczególnie ciekawe są karty, ukazujące Gdańsk latem 1939, gdy terror bojówek hitlerowskich sięgał już szczytów.



Pamięci Leona Kruczkowskiego

Prawie wszystkie tygodniki kulturalno-literackie czołowe szpalty poświęcają wspomnieniom o zmarłym pisarzu rewolucyjnego proletariatu Leonie Kruczkowskim. W Nowej Kulturze piszą o nim Stefan Żółkowski, Alicja Lisiecka, Jerzy Putrament, Hieronim Michalski i Stanisław Ryszard Dobrowolski. Ten ostatni we wspomnieniu zatytułowanym „Pierwsze dni wolności” opisuje, jak razem z Kruczkowskim opuścili Oflag i zatrzymał się w małym miasteczku Jastrówie. Tam właśnie zetknęli się z uczciwym Niemcem-lekarzem, który wraz z córkami pozostał na miejscu: „I oto, któregoś dnia — pisze Dobrowolski — dotarła do nas wiadomość, że zgwałcono nie jedną z nieletnich zresztą córek. Nigdy nie zapomnę oburzenia, z jakim ten fakt przyjął Leon. Widać było, że czuje się w pełni współodpowiedzialny moralnie za popełnioną niekwestionowaną, za nadużycie moralne, jakim tamten Niemiec obdarzył ludzi walczących w imię ideałów, które on — późniejszy autor „Niemców” — uważał za swoje.”

To wydarzenie stało się kilkanaście lat później tematem głośnej sztuki Leona Kruczkowskiego pt. „Pierwszy dzień wolności” granej na wszystkich niemal scenach kraju, wystawianej także swego czasu w poznańskim Teatrze Polskim.

W Przeglądzie Kulturalnym tak Zmarłego wspomina Jarosław Iwaszkiewicz:

„Właśnie w ostatnich paru latach Jego działalność dramatopisarska bardzo wzrosła. Może to był podświadomy pośpiech osobowości, przezwyciężającej granicę swego trwania? Pisał więcej, szybciej i lepiej niż kiedykolwiek. Sztuki układał Mu się w myśli szybciej niż je zdążył zapisywać. Już ciężko, nieodwołanie chore zaczął następować. Już w klinice, zwalony straszliwymi krwotokami, zdołał napisać jeszcze stroniczkę, jeszcze kilkanaście replik (...). Odchodzi jeden po drugim twórcy naszej najnowszej historii literackiej. Proces naturalny i okrutny. Jak mamy bronić się przeciwko temu okrucieństwu? Stara recepta: zwrócić szereg. Skończyć z blahymi swarami, z tandetnym rozrabianiem. Znaleźć swoje miejsce w pierwszym szeregu walczących.”

Droga do raju

To tytuł artykułu Krzysztofa Wolickiego (współpraca Jerzego Szejnocha) w najświeższym numerze Polityki. Autor kreśli w artykule sytuację „usamochodowania” naszego kraju. Stwierdza między innymi, że motoryzacja samochodowa jest w Polsce opóźniona nawet w przeliczeniu na dochód narodowy na jednego mieszkańca lub jednostkowy fundusz spożycia. Wielki pęd motoryzacyjny zaczął się w Polsce w latach 1956—1958.

„Pierwszy akt wspomnianej walki zakończył się w latach 1959—61 klęską ciążości. „Syrenka” kosztuje 72 tysiące zł, „Mikrus”, który wzbudził tyle nadziei, przestał istnieć, „Junak” zrównał się w cenie z kosztownymi motorami z importu, nawet motorowery wydawały w cenniku o wiele bliżej WFM-ki niż rowerów...”

Autor dalej pisze o trzech klasach samochodów: „Najniższa zaczyna się w grupie wozów o wysokim stopniu zużycia i niskiej cenie (ok. 30 tys. zł), kończy zaś na „Syrence”. Następna obejmuje no-

we wozy z importu typowego: „Skody”, „Wartburgi”, „Moskwice”. (Nowe „Warszawy”, nabywane są niemal wyłącznie przez taksówkarzy...). Najwyższa grupa, to wozy z importu nietypowego i prywatnego; (...). Jeszcze rok temu, najwyżej ceniony był „Mercedes”, jeszcze pół roku temu „Fiat” większych literaży, obecnie — „Peugeot 404”.

Samochody prywatne — bo cały artykuł jest poświęcony motoryzacji prywatnej — posiadają różni ludzie, od niebieskich płaków poczynając aż do uczciwych pracujących i zarabiających kończąc. Dla tych ostatnich samochodów to ciągle pasmo wyrzeczeń. Taki jest — z grubsza biorąc — rynek samochodowy w naszym ustroju. Autor pyta: „Czy jednak model cywilizacji zmotywowanej musi być z naszymi założeniami ustrojowymi sprzeczny?” Na to pytanie znajdziemy odpowiedź za tydzień.

W ostatnich dniach rozważania na temat motoryzacji coraz częściej pojawiają się na łamach prasy (patrz również artykuł na 1 stronie „Głosu Tygodnia”!).

Wolny czas dziecka

Ten temat nie doczekał się dotychczas żadnych systematycznych i trafiających w najważniejsze kwestie opracowań. Dyskutowało się, owszem, często i w zespolach pedagogów i publicznie na łamach prasy, ale brak naukowych prac o pedagogice wolnego czasu. W Głosie Nauczycielskim zwraca uwagę artykuł p. Niektóre problemy pedagogiki wolnego czasu Zbigniewa Zaborowskiego. Autor pisze między innymi:

„Podstawowym założeniem tego systemu (wychowawczego w wolnym czasie — dop. Lektora), powinna być troska o dziecko, jego wszechstronny rozwój, radość i dobre samopoczucie. W niektórych placówkach pozaszkolnych zapomina się nie-

kiedy o tym. Są w nich sprawne formy organizacyjne, bogate wyposażenie, wyszkolony personel, lecz w miejsce troski o dziecko, jego samopoczucie i rozwój występuje staranie o konkretne wyniki w postaci liczby wyprodukowanych modeli, zabawek itp. Drugim, istotnym założeniem, jest aktywizm pedagogiczny. Sam termin „pedagogika wolnego czasu” wskazuje, że mamy na myśli planową, przemyślaną działalność wychowawczą (...). Nie można zdać się „na żywioł” i pod pozorem nieingerencji w zainteresowania dzieci, pozostawić je samopas.”

Co hamuje wzrost stopy?

Na łamach Tygodnika Demokratycznego ukazał się artykuł Tadeusza Sapocińskiego pt. Jakim kosztem! Autor pisze o wykonaniu i przekroczeniu planów gospodarczych za I półrocze. Ale... „Wzrost produkcji, wykonywanie zaplanowanych zadań, jest osiągane zbyt wysokimi kosztami — niewspółmiernymi do osiągniętych rezultatów. Chodzi o jeden — najważniejszy, a zarazem najślabszy punkt: o wydajność pracy i wszystkie związane z tym konsekwencje (...). W ubiegłym roku plan zatrudnienia został przekroczony o 90 tysięcy osób (...), przewiduje się, że w tym roku przekroczenie wyniesie już 150 tysięcy osób, a w przyszłym aż 220 tys. ponad plan, ustalony dla tego okresu przez 5-latkę (...). Na kadrowe „nadwyżki” trzeba przeznaczyć co najmniej 5 miliardów zł na płace. Oczywiście, pieniądze te pójdą z ogólnego funduszu plac, który będzie musiał być rozłożony na większą liczbę zatrudnionych.”

Efekty? Zahamowanie wzrostu realnej płacy pracowniczej. Nie można bowiem zwiększyć globalnego funduszu plac bez obawy spowodowania zachwiania równowagi rynku. Przed gospodarką stoją więc zadania usprawnienia procesów wytwórczych i organizacji pracy, tak żeby plany produkcyjne wykonywać a nawet przekraczać, nie przekraczając planu zatrudnienia.

LEKTOR